



TYLKO DLA ORLIC

„Pokłóćcie się już w samolocie”. „Nic z tego nie wyjdzie”. „Nie uda ci się zebrać ekipy”. „Nie dacie rady”. Takie były reakcje na mój pomysł kobiecej motocyklowej wyprawy w Himalaje. Nie dałam się jednak zniechęcić. „Wyjdzie!” – przekonywałam niedowiarków.

Tekst Aleksandra Trzaskowska, zdjęcia archiwum Advfactory.com

Rzucam hasło wśród znajomych motocyklistek. Odzew jest błyskawiczny. Co więcej, zgłasza się aż 17 dziewczyn. Po kilku tygodniach ostatecznie krystalizuje się plan wyprawy „Tylko dla Orlic”: będą jechały dwie ekipy po różnych trasach. Przez miesiąc odwiedzimy najciekawsze zakątki indyjskich Himalajów: Spiti, Lahaul i Ladakh, zmierzmy się z trudnymi himalajskimi bezdrożami i najwyższymi przełęczami (kilka powyżej 5000 m n.p.m.), będą też piach, strumienie i duże wysokości.

Joga na dzień dobry

Dzień zazwyczaj zaczynamy od jogi. Dziś nie ma jednak na nią czasu, bo przed nami najtrudniejszy odcinek z całej wyprawy: pierwsza prawie pięciotysięczna przełęcz i pozalewana strumieniami droga. Dziewczyny nie są tego świadome. Mój niepokój potęguje to, że wczoraj z powodu osuwiska ziemi nie udało

nam się dojechać na zaplanowany nocleg i dziś musimy nadrobić te kilometry.

Na himalajskich drogach ruch jest niewielki w porównaniu do hinduskich miast. Trzeba jednak uważać na przepaście i wszechobecne ciężarówki. Ania, która gdzieś po drodze zaatakowała pod prąd jedną z nich, nie wzbudziła tym żadnej sensacji: wszyscy się ścisnęli i pojechaliśmy dalej.

Zaraz po świcie supersprawnie startujemy do najtrudniejszego etapu wyprawy. Jest zupełnie inaczej niż pierwszego dnia. Nie do końca byłśmy wtedy przyzwyczajone do Royal Enfieldów i ruchu lewostronnego, ponadto pokonywałyśmy najbardziej ruchliwy odcinek etapu. Dziś na drodze pusto. Możemy podziwiać widoki. Po prawej buddyjski klasztor Key, jeden z najpiękniejszych w całych Himalajach. Jego biel dominuje nad szaro-

robrazową doliną. Kolorowe chorągiewki modlą się wypisaną na nich najpopularniejszą buddyjską mantrą: OM MA NI PAD ME HUM. Takie same, ale oczywiście dużo mniejsze, łopocą rozpięte między lusterkami naszych Enfieldów.

Spotkania z buddyzmem to nieodłączny element wszystkich moich himalajskich wypraw. Na babskim wyjeździe kulminacją poznawania tamtejszej kultury jest spotkanie z mniszkami w małym, nieznanym nikomu klasztorze, położonym w okolicach Keylong. Do mniszek niełatwo się dostać: przepaścista, wąska droga kończy się



▲ Zatory na drogach? To w Himalajach normalne, więc jakoś musiałyśmy sobie radzić.

► Orlice w raju, czyli szaleństwo nad jeziorem Pangong Tso. Jedyne 4350 m n.p.m.



DŻAMMU I KASZMIR

Hunder

Leh

Sakti

Merak

Tso Moriri

Losar

Manali

INDIE

Sangla

CHINY

w wiosce, nad którą leży klasztor. Zostawiamy motocykle i ostatnie kilkaset metrów różnicy poziomów pokonujemy na piechotę. Mamy ze sobą kilka worków mąki, dalu (groch, fasola, soczewica), ryżu i innych najpotrzebniejszych produktów. Mniszki szczerze się cieszą na nasz widok. Jesteśmy tam kilka godzin i, mimo bariery językowej, świetnie dogadujemy się przy przygotowywaniu indyjskiego lunchu.

Następnych kilkadziesiąt kilometrów droga kluczy dnem doliny, potem trasa prowadzi półką skalną. Za każdym zakrętem wydaje się jeszcze piękniejsza. Mamy dylemat: jechać i nadrabiać kilometry, zwolnić i robić przerwy na zdjęcia, czy może puścić drona. Wygrywa opcja „ride slow”. W końcu nie po to pojechaliśmy na drugi koniec świata, żeby się spieszyć.

Przejeżdżamy przez checkpoint i zaczyna się podjazd na Kunzum La, pierwszą naprawdę wysoką przełęcz na naszej trasie. Szutrowe zakręty, kamienie,

małe strumienie czy piach nie stanowią już żadnego problemu. Dziewczyny zgrały się i między sobą, i z Enfieldami.

Kunzum La to poważny test odporności na wysokość. W Himalajach choroba wysokościowa bywa najtrudniejszą sprawą. Najtrudniejszą, bo nieprzewidywalną. Nikt nie wie, jak zareaguje jego organizm. Większych problemów związanych z chorobą wysokościową na szczęście nie mamy. Jedynie Marta i Odeta kilka razy „słabują”: choroba nie daje im spać i wysysa z nich siły. Marta nie może długo zostawać na wyższych przełęczach, natomiast Odeta po kilku dniach aklimatyzuje się do wysokości. Na drugim biegunie – Ania. Na każdej przełęczy powyżej 5000 m n.p.m. wpada w wir ćwiczeń: pompki, pajacyki, podskoki... A wierzcie, że na tej wysokości trudno złapać oddech nawet jak się stoi.

Wieziemy pomoc

Świętowanie na udekorowanej flagami Kunzum La nie trwa długo. Teraz zaczyna się

najciekawszy (czytaj: najtrudniejszy) fragment trasy. Po zjeździe z przełęczy zbaczamy nad święte jezioro Chander Tal. Kilkanaście kilometrów wąskiej drogi, w kilku miejscach poprzecinanej strumieniami, to przedsmak tego, co nas czeka w drugiej części dnia. Pomagając sobie nawzajem, pokonujemy wszystkie przeszkody i dojeżdżamy nad malownicze jezioro. Słychać

1

Cały czas zbieramy fundusze na rzecz prowadzonej przez Ewy Błaszczuk fundacji „Akogo”. Szczegóły na naszej stronie.

1. „Himalaje - tu oddycham” - powiedziała Odeta już pierwszego dnia podróży.

2. Półki skalne i urwiska, czyli himalajska codzienność.

3. Nie zabrakło folkloru: Ania i Asia w tradycyjnych strojach z okolic Ladakh.



2 3

pełne zachwyty ochy i achy. Dziewczyny nie wiedzą, że to tylko namiastka tego, co zobaczymy nad Pangong Tso - podzielonym między Indie i Chiny jeziorem wysokogórskim. Miałam szczęście oglądać je z obu stron. To jedno z najpiękniejszych miejsc, do których można dotrzeć na motocyklu. Odkąd nakręcono tu część filmu „Three Idiots”, który stał się hitem na indyjskich ekranach, nad jeziorem zaroiło się od hinduskich turystów. Trochę to zmieniło charakter tego miejsca, dlatego szybko zostawiamy je za sobą.

Mamy tutaj misję do spełnienia: do dwóch szkół wieziemy przybory do pisania i zabawki. Pierwsza leży w Merak - ostatnim punkcie, do którego w ogóle dopuszczają obcokrajowców. Merak to wioska z zaledwie kilkoma domami. Maluchy obdarowane prezentami są przeszczeniwe, a w dziewczynach odzywa się instynkt macierzyński... Tęsknią pewnie za swoimi dziećmi. Druga szkoła leży na przeciwnym końcu jeziora. Budynek jest bardziej okazały, widać, że uczą się tu dzieciaki z kilku dolin. Kiedy przyjeżdżamy, wszyscy już na nas czekają. Spotkanie początkowo jest trochę oficjalne - w końcu patrzą nauczyciele, ale lody szybko pękają. Nie wiem, kto się bardziej cieszy z tej wizyty: dzieciaki, czy my.

Po powrocie z Chander Tal na główną drogę zatrzymujemy się na lunch. Jak co dzień jest to lokalna dhaba, czyli przydrożna knajpa w lepiance albo namiocie. Serwowane tam lokalne potrawy są tak smaczne, że nadzieje na rzucenie kilogramów szybko idą w odstawkę. Ruszamy dalej, aby zmierzyć się z najtrudniejszym kawałkiem trasy. Na pierwszy strumień nie musimy długo czekać. Po kilku kilometrach woda wdiera się na drogę i przez dobrych kilkaset metrów płynie po niej. Przejeżdżamy pojedynczo. Orsi, nasza węgierska Orlica, wyskakuje na większym kamieniu poza drogę. Motocykl jest lekko pokiereszowany, a Orsi przekonuje się, że off-roadowe klimaty to nie do końca jej świat. Pozostałe odkrywają w sobie duszę off-roadowca. „To ile tych strumieni nas czeka?” - rzuca pytanie któraś.

No risk, no fun

Po kilku kilometrach trafiamy na zator: samochody stoją uwięzione przez kamienisto-błotniste osuwisko. Koparka już pracuje, ale do końca roboty jeszcze sporo. Nie ma co czekać, przejedziemy bokiem. Kiwam do operatora koparki, żeby podniósł łyżkę. Po chwili Enfieldy dają z siebie wszystko, my też. Mimo że lekko grzęzniemy w żwirze i piachu, po kilkunastu minutach wszystkie jesteśmy po drugiej stronie. Bez gleby, bez strat.

Tego typu przejazdów pokonujemy przez miesiąc kilkadziesiąt. Ten w drodze

nad Pangong Tso daje się nam szczególnie we znaki. Woda zalała poważny kawałek doliny, w tym drogi. Z połączenia piasku i wody powstała głęboka błotnista maź, pokryta półmetrową warstwą wody. Albo będziemy nie wiadomo jak długo stać, a przed nami zbierają się czarne chmury, albo musimy jakoś precyzyjnie się między uwięzionymi w brei samochodami. Próbujemy. Aneta ostrożnie przejeżdża przez błoto poza wyznaczoną drogą. Mimo że zaczynając tę wyprawę nie miała dużego doświadczenia off-roadowego, teraz to jej ulubiona zabawa. Ewa z wprawą wytrawnego motocyklisty manewruje w błocie między samochodami. W kilka chwil pokonuje zatłoczone 2 kilometry.

Przez wodospad

Przed Agą, najniższą z nas, dla której Enfield jest wysokim sprzętem, wielkie

Dolina Lahaul: niekończące się przeprawy przez strumienie i pozalewane drogi.



wyzwanie. Przymierzając się do motocykla, martwiła się, czy nie będzie jej „brakowało nogi”. I mimo że kilka razy zabrakło, doszła do takiej wprawy, że wysokość motocykla przestała być problemem. Odeta uśmiecha się od ucha do ucha na samą myśl o każdym wyzwaniu. Klaudia off-road ma we krwi: od kilku lat trenuje enduro, więc dla niej męczące są kawałki asfaltowe. Przejechaliśmy, trochę ubłocone, ale co tam – zdążyliśmy się już przyzwyczaić.

Po kilku przeprawach przez strumienie jesteśmy totalnie przemoczone. Jeszcze tylko kilka kilometrów, kilka zakrętów i... na drodze pojawia się kolejna przeszkoda. Na półkę skalną, którą prowadzi nasza trasa, spada woda z ogromnego wodospadu. Droga jest zalana na kilkudziesięciu metrach. Całkiem głęboko. Jakoś udaje mi się pokonać strumień, ale nie ma mowy o przejeżdżaniu w po-

jedynkę. Pod wodą leży sporo kamieni, łatwo stracić równowagę i zalać sprzęta, a nawet wylądować poza drogą, czyli w przepaści. Ekipa jest tak zgrana, że dziewczyny same szybko rozstawiają się na stanowiskach. Jedna podtrzymuje, druga pcha, trzecia wyznacza tor, po którym należy jechać. W ten sposób asekurowujemy wszystkie motocykle. Bez strat zostawiamy wodospad za plecami. Ostatnie kilometry to już odpoczynek. Na nocleg dojeżdżamy o zmroku.

To nasz ostatni pensjonat na trasie do Leh, jest szansa na ciepły prysznic i jakieś ogrzewanie: wszystkie rzeczy mamy mokre. Jesteśmy w połowie drogi i od teraz będziemy spać już tylko w namiotach. W tej części po prostu nie ma innej opcji. Namioty są zresztą często wygodniejsze niż tamtejsze pensjonaty. Mają nawet namiotowe dobudówki-łazienki. Da się odpocząć po ciężkim dniu jazdy: a każdy motocyklowy dzień to wyzwanie, które wymaga pełnej koncentracji i dużego wysiłku fizycznego. Szczególnie najwyższe przełęcze, z Khardung La na czele. Wjazd na 5602 m n.p.m. to ogromne obciążenie dla każdego, nawet przyzwyczajonego do wysokości organizmu. Najwyższa dopuszczona do ruchu kołowego przełęcz świata jest wisienką na torcie naszej trasy.



Każda z nas miała inną motywację, wybierając się na babską wyprawę. Każda miała

UWAGA! UWAGA! UWAGA! UWAGA!

PRZESYŁAJCIE DO REDAKCJI RELACJE ZE SWOICH DALEKICH PODRÓŻY!

NAJLEPSZE OPUBLIKUJEMY, A AUTOR W NAGRODĘ OTRZYMA

500 ZŁ

NA ZAKUP PRODUKTÓW

SW-MOTECH

DOBRE SKLEPY MOTOCYKLOWE.PL

Sponsor nagrody:

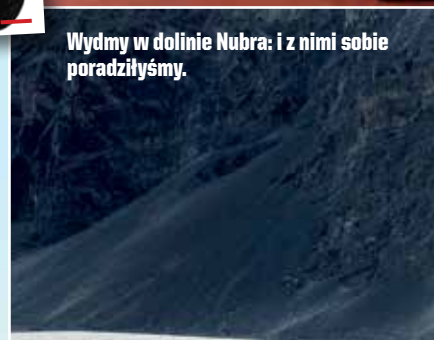
inne marzenia i cele. Każdej co innego sprawiało trudność. Wjazd na Khardung La dał nam poczucie, że możemy wszystko i wspólnie damy radę pokonać wszelkie trudności. Wyprawa „Tylko dla Orlic” to najodważniejsza, ale i najpiękniejsza wyprawa w moim życiu. Po miesiącu spędzonym z dziewczynami w Himalajach wiem, że było warto. Ekipa sprawdziła się wyśmienicie i zgrała w świetnie współpracujący team. Żadna z przepowiedni o kłótniach się nie sprawdziła. Dlatego w przyszłym roku Orlice jadą podbijać kolejny kawałek Azji.

Wiecej o naszej wyprawie już wkrótce na www.tylkodlaorlic.pl



Ania, która na co dzień mieszka w Genewie, poczęstowała mniszki... szwajcarską czekoladą.

Wydmy w dolinie Nubra: i z nimi sobie poradziłyśmy.



to warto wiedzieć

Noclegi. Od 20 USD na szlaku do 100 USD w głównych miastach regionu (Leh, Manali).



▲▼ Złote myśli Border Road Organization. Tego typu znaki umilają jazdę kierowcom.

Pogoda. Himalajskie przełęcze są przejezdne tylko przez 4 miesiące w roku: od połowy maja do połowy września. Lato jest raczej słoneczne, ale temperatury bardzo zmienne. W dzień może być upalnie, do +30°. W nocy, szczególnie na wysokościach, temperatura może spaść nawet poniżej zera. W każdej chwili grozi tam opad śniegu.

Nie warto: spieszyć się. Indie uczą cierpliwości. Spowolnić lub zatrzymać na drodze może wszystko: osuwiska ziemi, wojsko, checkpoint, zwierzęta... Za to widoki cały czas zapierają dech w piersiach, jest się więc czym cieszyć.



W Indiach obowiązuje ruch lewostronny. Lepiej się do tego jak najszybciej przyzwyczaić. Wjazd do większości rejonów przygranicznych wymaga specjalnych pozwoleń. Nie wszędzie obokrajowcy są w ogóle wpuszczani. Trzeba się pilnować z paliwem: w niektórych rejonach są duże odległości między stacjami. Bankomaty funkcjonują tylko w Leh i Manali. Wszędzie indziej trzeba mieć gotówkę.

Drogi. Nawet główne nie przypominają szlaków w naszym, europejskim rozumieniu. Jedynie droga z Manali do Leh jest taka, do jakiej są przyzwyczajeni Europejczycy. Co roku jest w coraz większym stopniu wyasfaltowana. Należy się nastawić na wąskie, kręte i często wiszące nad przepaściami ścieżki. Wymijanie, szczególnie z dużymi ciężarówkami, to nie lada wyzwanie. Większość dróg w rejonie to szutry. Często można być zablokowanym przez osuwiska ziemi.

KOSZT: ok. 2900 USD/osoba

Himalaje zdobyty: Agata Lange, Agata Gregorek, Anna Turguła, Katarzyna Wasilkowska, Joanna Paluch-Fucik, Marta Bogotko, Zajtai Orsolya, Anna Urzędowska, Emilia Plak, Anna Chyłkowska, Agnieszka Zagórska, Ewa Ceglowska, Aneta Trojanowska, Odeta Moro, Joanna Świercz, Klaudia Bońkowska, Aleksandra Trzaskowska.